



TRZYNASTE DZIECKO

ERIN A. CRAIG

ERIN A. CRAIG

TRZYNASTE
DZIECKO

Tłumaczenie
Maciej Kęsy

Tytuł oryginału: *The Thirteenth Child*

Copyright © Erin A. Craig 2024

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Nowe Strony, Oświęcim 2025

All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redaktorka prowadząca: Sandra Pętecka

Redakcja: Alicja Chybińska

Korekta: Katarzyna Chybińska, Monika Baran, Martyna Góralewska

Skład i łamanie: Paulina Romanek

Oprawa graficzna książki: Weronika Szulecka

Projekt okładki: David Seidman

Druk i oprawa: Abedik SA

ISBN 978-83-8418-276-5 · Wydawnictwo Nowe Strony · Oświęcim 2025

Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek

Niniejsze wydanie zostało opublikowane we współpracy
ze Sterling Lord Literistic, USA, i Book/lab Agencja Literacka, Polska

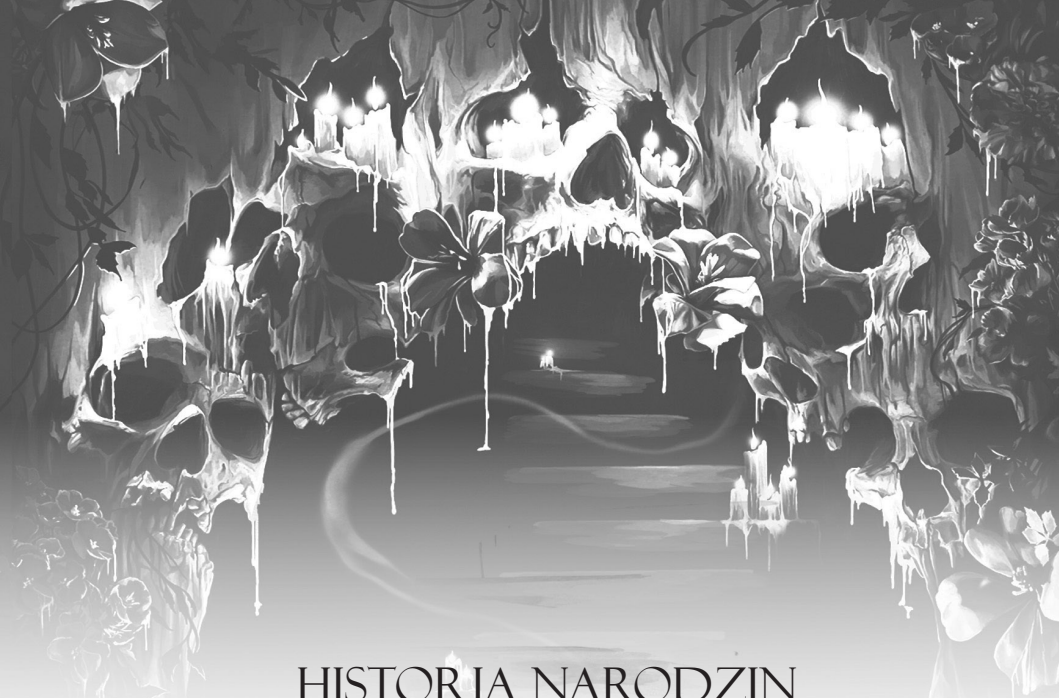


🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo Nowe Strony
📺 wydawnictwonowestrony
🎵 [nowe_strony](https://www.instagram.com/nowe_strony)

Dla Grace

*W gobelinie mojego życia to ty jesteś
najjaśniejszą spośród wszystkich nici.*





HISTORIA NARODZIN

Zapałka zapłonęła, a wokół rozszedł się charakterystyczny, ostry zapach siarki. Płomień kąsał patyk, gorączkowo poszukując knota, by móc się nim pożywić.

Głos mojego ojca chrzestnego wynurzył się z ciemności niczym wypełzający z krypty upiór, nadchodząc wraz z szelestem liści i dymnym posmakiem jesieni.

– Dawno, dawno temu, w samym sercu lasu Gravia mieszkał pewien wyjątkowo głupi myśliwy.

Płomień zbliżał się nieubłaganie do jego palców, gotów przypalić skórę, a drewno zdążyło się już niemal wypalić, ale on w ogóle nie zwracał na to uwagi.

– Nie musimy tego przecież robić – rzekłam, podając mu długą, smukłą świecę do zapalenia.

Miała bursztynowy kolor, pełen pięknych intensywnych, ciepłych, złocistych barw.

Jej płomień rzucał migoczące cienie na wnętrze chaty, stawał się coraz żywszy i wyraźniejszy. Spojrzałam Merrickowi w oczy – w tęczówki stanowiące dziwną mieszankę srebrnego i czerwonego otoczoną bezdenną czernią – i się uśmiechnęłam. Znałam tę historię na pamięć, ale mimo to pozwoliłam, by ją opowiedział. Należało to do jego ulubionych czynności z okazji moich urodzin.

– Przez całe swoje życie ów wyjątkowo głupi myśliwy podejmował szereg równie idiotycznych decyzji, aż w końcu, pewnej szczególnej nocy, dokonał naprawdę przemyślanego wyboru. – Sprawnym ruchem długich, sękatych palców zdusił płomień, a smuga srebrzystego dymu uniosła się ku belkom stropowym. – Myśliwy, jak sama wiesz, nie miał za nic rozumu i żył w bardzo skromnych warunkach, ale mimo to jakimś cudem udało mu się poznać młodą i bardzo urodziwą kobietę, która została jego żoną.

– A wszyscy doskonale wiemy, co się dzieje, gdy wyjątkowo biedni mężczyźni wiążą się z bardzo urodziwymi żonami – wtrąciłam, nie potrafiąc się powstrzymać.

– Zostają pobłogosławieni gromadką równie ślicznych dzieci – odparł z wyraźnym wyrzutem Merrick. – To ja opowiadałam tę historię czy ty?

Odwrociłam się do niego plecami, po czym zerknęłam w stronę piekarnika, by się upewnić, że chleb zdążył się upiec. Urodzinowa tradycja czy nie – oboje musieliśmy coś zjeść... w porządku, ja musiałam – a kolacja przecież nie przygotowałyby się sama.

– Wybacz mi, proszę – przeprosiłam, chwytając blachę przez ręcznik. – Mów dalej.

– Na czym to ja skończyłem? – spytał z wyćwiczoną dramaturgią. – Och, tak, na dzieciach, na gromadce ślicznych dzieci. Najpierw urodziło im się jedno lub dwoje, nie pamiętam już dokładnie, a potem, zanim się obejrzel, na świat przyszło czwarte, piąte, szóste i tak dalej, aż dotarli do pełnego tuzina. I w ten oto sposób mieli pod opieką dwanaście uroczych, idealnych pod

każdym względem, prześlicznych dzieci. Większość mężczyzn pohamowałaby popędy znacznie wcześniej, ale jak już zdążyłem podkreślić, ten myśliwy uchodził za wyjątkowo głupiego.

– Tak, to prawda, już o tym wspominałeś – zgodziłam się z nim, jak zawsze.

Wyglądał na zadowolonego.

– No właśnie. I tak mijały lata, jak to zresztą często bywa, i ten wyjątkowo głupi myśliwy się zestarzał, jak to śmiertelnicy mają w zwyczaju. Na obrzeżach Gravii powstawały kolejne wioski i miasta, a lasy nie obfitowały już w zwierzynę, choć za młodości lat myśliwego było jej pod dostatkiem. Bez zwierzyny na sprzedaż i mając tyle gęb do wykarmienia, wyjątkowo głupi myśliwy pogрузzył się w rozpacz, zastanawiając, jak długo zdoła utrzymać swoją coraz liczniejszą rodzinę.

– Aż pewnego dnia...

– Aż pewnej nocy – poprawił mnie ojciec chrzestny, zirytowany. – Naprawdę, Hazel, skoro już musisz mi przerywać, mogłaś byś przynajmniej trzymać się szczegółów. – Dał mi pstryczka w nos, cmokając z dezaprobatą. – Na czym to ja... ach tak... Aż pewnej nocy, leżąc w łóżku, wyjątkowo głupi myśliwy usłyszał od prześlicznej żony, że spodziewa się kolejnego dziecka. Natychmiast krzyknął: „Trzynaścioro dzieci! Jak ja niby mam utrzymać trzynaścioro dzieci?”.

Nadchodził fragment opowieści, którego najbardziej nienawidziłam, ale Merrick zdawał się nie zauważać mojego dyskomfortu. Zawsze z zapalem wcielał się w rolę bardzo urodziwej żony, zamieniając szorstki głos w przenikliwy falset i spletając palce w udawanej delikatności.

– „Moglibyśmy się go pozbyć zaraz po porodzie”, zaproponowała wtedy jego niezwykle urodziwa żona. „Możemy wrzucić je do rzeki i pozwolić losowi, by się nim zajął. Ktoś z pewnością usłyszy płacz, a jeśli nie...”. Kobieta wzruszyła ramionami, a myśliwy spojrział na nią z przerażeniem. Jak mógł nie zauważyć, że jego

żona posiada czarne, pozbawione jakichkolwiek ludzkich emocji serce? Po chwili myśliwy podsunął jej pewien pomysł: „Możemy je przecież zanieść do znajdującej się w mieście świątyni”.

Wyobraziłam sobie siebie jako niemowlę – zawinięte w materiał i porzucone nad brzegiem rzeki wśród gęstej trzciny i glinianego mułu, podczas gdy lodowata woda nieuchronnie wdzierała się do mojego koszyka. Albo jako jedno z wielu dzieci w świątynnym sierocińcu, walczących o każdy okrusz chleba czy choć odrobinę uwagi i płaczących coraz głośniej, choć zawsze tak naprawdę niezauważona.

Merrick uniósł palec wskazujący, znacznie dłuższy od pozostałych, wykrzywiony przy knykciach niczym wygięta gałąź buka.

– Po chwili – kontynuował – rozległ się łagodny, dźwięczny głos z głębi chaty: „Albo moglibyście rozważyć oddanie jej mnie”. Myśliwy zbladł, ale mimo to odważył się zapytać: „Kto... kto tam jest?”. Głos mu drżał, podczas gdy żona próbowała zepchnąć go z posłania, by przepędził intruza.

– I ktoś to wyłaniał się z tego mroku i cieni, jeśli nie sama Pierwsza Świąta – odezwałam się z jadalni, wygładzając zagniecenia kwiecistego obrusa.

Mój ojciec chrzestny przewrócił oczami.

– Oczywiście, że to Pierwsza Świąta i dlatego też obiecała, że przygarnie to nieszczęsne niemowlę i wychowa je na dobre, cudowne dziecko, postulantkę pełną miłosierdzia i łaski. Jak sama wiesz, żona myśliwego również zadała pytanie: „A kimże jesteś, by oferować nam coś takiego?”. Stała wtedy przed wspaniałą boginią, nie czując się już tak śliczna jak zwykle w jej obliczu. „Naprawdę mnie nie poznajesz, śmiertelniczko?”, zapytała bogini, przechylając z zaciekawieniem głowę, a jej oczy lśniły niczym opale zza delikatnej zasłony. – Merrick odchrząknął, rozkoszując się rolą narratora. – Wtedy wyjątkowo głupi myśliwy odepchnął żonę na bok. „Oczywiście, że cię znamy!”, zawołał z oburzeniem.

„Ale nie zaakceptowalibyśmy cię jako matki chrzestnej tego dziecka. Jesteś Pierwszą Świętą, pełną miłości, światła i piękna. Lecz twa miłość przyniosła mojej żonie i mnie jedynie ubóstwo. Dwanaścioro dzieci w ciągu tylu lat, a kolejne w drodze! Nasza trzynasta pociecha poradzi sobie bez ciebie”.

Zapaliłam trzy kolejne świece i postawiłam je na stole, pozwalając, by ich przyjemny blask rozjaśnił pograżone w półmroku pomieszczenie.

Jak wyglądałoby moje życie, gdyby ojciec przyjął ofertę Pierwszej Świętej? Wyobraziłam sobie, jak przechadzam się po Świątyni z kości słoniowej w przejrzystych, połyskujących szatach postulantek bogini. Moje jasnobrązowe włosy byłyby wówczas bardzo długie, ułożone w bujne loki, a cera perfekcyjna i wolna od wszelkich znamion, jak u porcelanowej lalki. Stałabym się wtedy pobożna, pełna pokory i wiodłabym spokojne, idealne życie, bez wstydu i żalu.

Wystarczyło jedno spojrzenie na znajdującą się pod paznokciami warstwę brudu – zawsze obecną, niezależnie od tego, jak mocno je szorowałam – by zniweczyć to marzenie.

– Pierwsza Święta odeszła, a myśliwy i jego żona jakimś cudem ponownie zasnęli – ciągnął Merrick. – Aż... rozległ się potężny grzmot! – Klasnął w dłonie, aby uzyskać odpowiedni dźwięk. – „Któż to znowu?”, zawołała niezwykle urodziwa żona, a jej ton wyraźnie zabarwił się złością. „Próbujemy spać!”. Po chwili odpowiedział jej ktoś przebiegłym, zdradliwym głosem: „A my próbujemy wam pomóc”. I wtedy nagle z cienia wyłoniła się smukła, wysoka postać, przemykająca w blasku świateł. „Oddajcie nam swoje dziecko, a wychowamy je na kobietę o wielkiej mocy i bogactwie. Zdobędzie majątek wykraczający poza miarę oraz wszelkie obliczenia i...”. Bóstwo zamilkło, co jeszcze bardziej zaciekało żonę myśliwego. „I? Co dalej? Majątek i co dalej?”. Kobieta się pochyliła. – Merrick zaśmiał się chrapliwie, naśladując gesty poszczególnych postaci, potem przyłożył dłoń do

czoła z udawaną rozpaczą. – „Nie!”, krzyknął niezwykle głupi myśliwy, bo choć nie grzeszył inteligencją, to od razu rozpoznał tajemnicze bóstwo.

– Bóstwa – poprawiłam go.

– Podzieleni przyglądali się parze, spoglądając na myśliwego i jego żonę wspólnym okiem, osadzonym pośrodku rozszczepionej twarzy. A kiedy zapytali, dlaczego wyjątkowo głupi myśliwy odrzuca ich ofertę, uczynili to dwoma głosami, wydobywającymi się z jednego gardła. „Jesteście Podzielonymi”, zaczął myśliwy. „Możecie obiecywać, że podarujecie temu dziecku bogactwo, władzę i niezliczony dostatek, ale fortuna bywa kapryśna”, tu pstryknął palcami. „I może odmienić się w jednej chwili, tak jak rozszczepiła się wasza twarz. Co się wtedy stanie z naszym dzieckiem?”. Podzieleni przekrzywili wspólną rozszczepioną głowę, patrząc na niezwykle głupiego myśliwego z nieufnym szacunkiem. „To twoja ostateczna odpowiedź?” zapytali, a ich głosy brzmiały mocarnie, tak liczne, a jednak jednogłośnie. Myśliwy przytaknął, nawet gdy jego żona uderzyła go w ramię, a Podzieleni rozplynęli się w błysku pioruna, cienia i wszechobecnego chaosu. Para nie mogła już zasnąć tej nocy, zastanawiając się, jakie jeszcze okropieństwa mogą ich spotkać. Tulili się do siebie w ciemności aż do wczesnych godzin porannych, tuż przed wschodem słońca, gdy noc jest najstraszniejsza. Dopiero wtedy odwiedziło ich trzecie bóstwo. – Uśmiech Merricka stał się bardzo przyjazny, a ostre końcówki jego zębów załśniły w blasku ognia. – Ja. – Zamilkł na moment, rozglądając się po kuchni, po czym wydał z siebie zniecierpliwiony pomruk. – Ciasto!

Po chwili wyjął pojemniki z mąką i cukrem, a następnie nabrał garść każdego z nich, pozwalając, by sypkie granulki przesypywały się przez jego palce, a ja patrzyłam, jak białe drobiniki przekształcają się w locie w warstwę gęstego, złocistobrazowego ciasta.

Gdy zdmuchnął ostatnią warstwę cukru, zamienił się on w bladoróżowy lukier, tak delikatny, że wciąż dało się dostrzec

spod niego kolejne poziomy tortu. Na wierzchu mienił się pyłek ze złotego listka. Merrick z powietrza wyczarował piwonie – przepiękną i pachnącą, bliską rozkwitu. Położył ją na samym szczycie ciasta, gdzie nagle pojawiły się niewielkie świece, w identycznym odcieniu różu co płatki.

Całość prezentowała się wybornie, wręcz przesadnie okazale, dokładnie tak jak wszystko, co wychodzi spod ręki Merricka.

– I jak? – zapytał, podziwiając swoje dzieło, po czym się pochylił i pocałował mnie w czubek głowy z ojcowską czułością.

Pachniał ciepłym kardamonem i goździkami, wanilią i melasą, lecz pod tą słodyczą czaił się intensywniejszy, nieco nieprzyjemny zapach. Nie dało się go zamaskować nawet najmocniejszym pomanderem*. Woń ta przypominała mieszanek żelaza, miedzi oraz zbyt długo leżącego na słońcu mięsa, mogącego się w każdej chwili zepsuć.

– Wiesz, nigdy nie zapomnę momentu, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, te wszystkie urodziny temu. Byłaś wyjątkowo pomarszczoną, płacziwą, delikatną i drobną istotką. Nie miałem pojęcia, co mam z tobą począć, gdy znalazłaś się w moich ramionach.

Mój uśmiech zbladł natychmiast. Doskonale wiedziałam, co wtedy zrobił – oddał mnie z powrotem matce i uciekł, znikając na całe lata. Pozwalałam mu jednak opowiedzieć tę historię tak, jak ją zapamiętał. Moje urodziny zawsze znaczyły dla niego o wiele więcej niż dla mnie.

– Zamierzałem nadać ci imię Joy, bo twoje pojawienie się sprawiło mi ogromną radość. – Zmarszczył brwi, walcząc z napływającym wzruszeniem. – Ale potem otworzyłaś oczy i oniemiałem z wrażenia, całkowicie oczarowany. Tyle głębi i mądrości w tych orzechowych cudach. – Zrobił drżący wydech. – Rozpiera mnie duma, że mogę cię nazywać swoją, i czułem wdzięczność, że mogę świętować ten dzień razem z tobą.

* Pomander – nieduża kulka zapachowa, flakonik lub najczęściej sferyczny metalowy pojemnik z dziurkami w górnej lub dolnej części albo na całej powierzchni, otwierany w taki sposób, by do środka dało się włożyć wkład zapachowy (przyp. tłum.).

Gdy obserwowałam ojca chrzestnego, moje serce wypełniało przyjemne ciepło. Nie należał do urodziwych postaci, nawet w najmniejszym stopniu. Z pewnością nie był kimś, komu większość rodziców oddałaby swoje dziecko z własnej woli.

Nie miał nosa, tylko zapadnięte wgłębienie w kształcie odwróconego serca, a jego skóra w kolorze intensywnego onyksu boleśnie napinała się na policzkach, przez co na jego twarzy zawsze malował się groźny grymas, niezależnie od tego, jak bardzo się cieszył. Był nienaturalnie wysoki i szczupły. Nawet w przestronnej, pokrytej dwuspadowym dachem chacie musiał za każdym razem schylać się nisko pod krokwiami, by nie wpaść przypadkiem na rozwieszone do ususzenia pęki kwiatów i zioła. Nawet obszerne, ciemne szaty nie zdołały zamaskować jego kościstej sylwetki. Czarna wełna zwiisała w osobliwy sposób z wystających kości kręgosłupa i łopatek, niemal przywodząc na myśl nietoperze skrzydła.

Nie, większość rodziców nie oddałaby swojego dziecka komuś takiemu jak Merrick.

Ale moi nie należeli do tej większości.

We mnie jego oblicze nie wzbudzało strachu. To twarz Ponurego Końca, kochającego mnie bóstwa. To właśnie on mnie wychował, gdy rodzina z krwi i kości się mnie wyrzekła. Tak prezentowało się oblicze mojego ocalenia, choć nie do końca na nie zasłużyłam i o nie nie prosiłam.

Merrick uniósł kielich w stronę mojego.

– Za te urodziny i za wszystkie kolejne, które wciąż przed tobą.

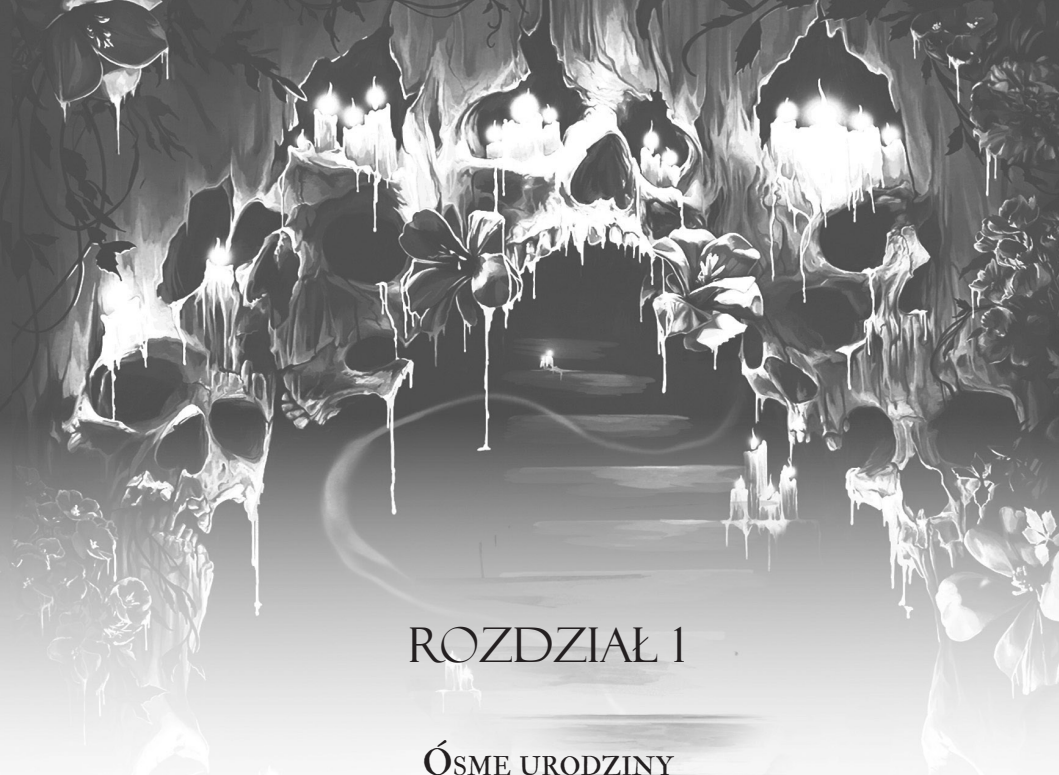
Szkło zabrzączało, a ja odwzajemniłam jego słowa z niepewnym uśmiechem.

Za wszystkie kolejne, które wciąż przed tobą.

– A teraz – rzekł, przyglądając się z zachwytem różowemu wypiekowi, zupełnie nieświadom moich wewnętrznych rozterek.

Jak zawsze zresztą.

– Może zaczniemy od ciasta?



ROZDZIAŁ 1

ÓSME URODZINY

Kolejny rok, kolejny rok, nadszedł kolejny rok – śpiewały dzieci zgromadzone wokół długiego stołu. Ich głosy niosły się coraz dalej, zyskując na sile i tonie, aż ostatnia zwrotka dobiegła wreszcie do upragnionego końca. – Jesteś teraz o rok starszy, więc krzyknij: Hurra! I już po sprawie!

Pomieszczenie wypełniło się licznymi piskami i chichotem, gdy Bertie – nasz dzisiejszy solenizant – wskoczył na krzesło i wydał z siebie donośny okrzyk triumfu, po czym się pochylił i zdmuchnął dziewięć świeczek na małym orzechowym torcie.

– Zaczнеш ode mnie, mamusiu? Zaczнеш ode mnie? – błagał, a jego dziecięcy głos przebijał się przez panujący w pokoju zgiełk ze znacznie większą siłą, niż powinien.

– Tak, tak – odpowiedziała nasza mama, wprawnym ruchem bioder przeciskając się do krawędzi stołu przez kłębiący się tłum mojego rodzeństwa. – Po tacie, oczywiście.

Przyciągnęła do siebie półmisek i szybkim ruchem noża do masła odkroiła gruby kawałek tortu. Następnie położyła go na talerzu i przesunęła wzdłuż stołu do miejsca, gdzie siedział nasz ojciec, obserwujący błędnym wzrokiem całe to urodzinowe zamieszanie.

Z tej okazji otworzył nową beczułkę piwa i zdążył już opróżnić trzy kufle. Mruknął z uznaniem, gdy pierwszy kawałek ciasta – największy, jaki mógł tylko być, jeśli oczy mnie nie myliły – znalazł się tuż przed nim. Nie czekając, aż reszta z nas zostanie obsłużona, wziął widelec i zaczął łapczywie pałaszować słodki przysmak.

Rodzeństwo zaczęło się wiercić z niecierpliwości. Wszyscy przyglądali się mamie, gdy ta kroїła resztę tortu.

Następny kawałek dostał Bertie, jako solenizant, i aż krzyknął z zachwyty, dostrzegłszy, że ten jest prawie tak duży jak porcja taty.

Potem przyszła kolej na Remy'ego, następnie na Genevieve i Emmeline, aż w końcu zaczęłam tracić tym wszystkim zainteresowanie. Mama podawała ciasto w kolejności urodzenia, więc wiedziałam, że przyjdzie mi na nie jeszcze długo poczekać.

Czasem odnosiłam wrażenie, że całe moje życie sprowadza się wyłącznie do jednego – do czekania.

Wszyscy zaczęli jeść, gdy tylko talerze pojawiły się przed nimi, i głośno wyrażali zachwyty nad smakiem ciasta, jego wilgotnością oraz aromatem i jak bardzo słodki okazał się lukier.

Gdy Mathilde – trzecia od końca – otrzymała kawałek, zerknęłam z zainteresowaniem na ostatnią porcję ciasta i zapaliła się we mnie iskierka naiwnej nadziei. Ślina napłynęła mi do ust, gdy ośmieliłam się sobie wyobrazić, jak bardzo orzechowy ma smak. Nie miało dla mnie znaczenia, że moja część nie będzie nawet w połowie tak duża, jak Bertiego i nie przeszkadzało mi, że na jej powierzchni pozostała niewielka warstwa lukru. Liczyło się jedynie to, że w ogóle coś dostanę.

Mama jednak uniosła ostatni kawałek na widelcu do ust i wsunęła go między wargi, nawet nie zadając sobie trudu, by uprzednio położyć go na talerzu.

Bertie, obserwujący zachłannym wzrokiem resztę porcji w nadziei, że w jakiś sposób uda mu się upolować dokładkę, zdobył się na odrobinę przyzwoitości i zauważył:

– Mamusiu, zapomniałeś o Hazel!

Mama spojrzała na koniec długiego stołu. Wyglądała na bardzo zaskoczoną, jakby naprawdę mnie wcześniej nie zauważyła. W sumie się nie dziwię, bo siedziałam w najdalszym rogu, ściśnięta między Mathilde a popękaną gipsową ścianą.

– Och, Hazel! – westchnęła, a potem wzruszyła ramionami, lecz w jej oczach próżno szukać przeprosin, a raczej wyrzutu, jakby chciała mnie zapytać: „I co ja mam teraz z tobą niby zrobić?”.

Zacisnęłam usta. Nie przypominało to uśmiechu wybaczenia, a jedynie ponure zrozumienie. Nie zapomniała o mnie i obie doskonale o tym wiedziałyśmy, tak samo jak zdawałam sobie sprawę, że obojętnie, co bym powiedziała lub zrobiła, nie wywołałyby to u niej nawet najmniejszej skruchy.

– Czy mogę odejść od stołu? – zapytałam, z trudem wstając z ławy, ledwo dosięgając stopami do podłogi.

– Skończyłaś codzienne obowiązki? – zainteresował się tata.

Wydawał się zaskoczony, jakby dopiero co zauważył moją obecność. Nie miałam żadnych wątpliwości, że o mnie zapomniał. Zajmowałam w jego domu i w myślach tyle samo miejsca co przypis w obszernej, opasłej księdze z jego wspomnień.

Trzynaste dziecko – córka, której nigdy nie planował.

– Nie, tato – skłamałam, po czym spuściłam wzrok, skupiając się mocniej na jego dłoniach niż twarzy.

Bezpośredni kontakt wzrokowy ze mną wymagał od niego więcej energii, niż zwykle okazywał się skłonny mi poświęcić.

– To co tu jeszcze robisz, wałęsając się jak leniwa dziewczka? – warknął.

– Przecież to moje urodziny, tato – wtrącił Bertie, marszcząc brwi.

– Tak, to prawda.

– Hazel nie mogła przecież przegapić moich urodzin! – zawołał z oburzeniem.

Zarumieniłam się z powodu rozpierającej dumy, gdy mój brat stanął przeciwko ojcu i wstawił się za mną! Zrobił to wyłącznie dla mnie!

Tata zaciskał i rozluźniał naprzemiennie zęby, jakby żuł tytoń, mimo że od miesięcy nie mógł sobie pozwolić na kupno nawet jednej puszki.

– Zjedliśmy kolację i tort – odezwał się w końcu. – Twoje urodziny zostały należycie uczczone. Hazel powinna już więc wracać do swoich obowiązków.

Przytaknęłam, co sprawiło, że moje dwa brązowe warkoczki musnęły delikatnie ramiona. Odsunęłam się od tylnej ławy i nieznacznie dygnęłam przed tatą. Tuż przed wyjściem z zatłoczonej jadalni zatrzymałam się na moment i spojrzałam na brata, obdarzając go delikatnym uśmiechem.

– Wszystkiego najlepszego, Bertie.

Obróciłam się i wybiegłam z domu prosto w chłodne, wiosenne powietrze. Zmierzch lada moment miał ustąpić miejsca prawdziwej, głębokiej nocy – porze ludzi cienia i leśnych stworzeń o zbyt długich kończynach i paszczach pełnych ostrych zębów. Ogarnął mnie strach, a serce забиło mocniej, gdy wyobraziłam sobie, że jedno z nich wynurza się z mroku i wpada na mnie w drodze do stodoły.

Z trudem przeciągnęłam wielkie, przesuwne drzwi i skierowałam się do znajdującego się na tyłach pomieszczenia stołu roboczego. Wprawdzie panował tutaj półmrok, ale znałam tę trasę na pamięć. Znalazłam należące do taty pudełko zapalek i zapaliłam lampę naftową, a ona rzuciła nagle złote światło na pograżone w ciemności stajnie.

Zajęłam się codziennymi obowiązkami na długo przed kolacją. Udało mi się nawet wykonać część zadań Bertiego, w ramach urodzinowego prezentu. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam była okłamywać ojca – mama wciąż powtarzała, że za wszelką cenę należy wystrzegać się grzechu i za każdym razem, gdy udzielała mi nagany, uderzała mnie w tył głowy – ale gdybym została w tym szczęśliwym imprezowym chaosie choćby sekundę dłużej, stworzony przeze mnie mur by się rozpadł, a łzy zaczęłyby swobodnie płynąć.

A nic nie wprowadzało mamy i taty w gorszy nastrój niż widok moich łez.

Ostrożnie wspięłam się po drabinie na poddasze, niepewnie trzymając chwiejącą się lampę, po czym skierowałam się do swojej sypialni.

Spałam w stodole, odkąd wyrosłam z podniszczonej, małej kołyski, która służyła całej naszej trzynastce w niemowlęctwie. Na strychu chaty mieściły się tylko cztery łóżka – moje rodzeństwo spało po troje na jednym materacu – i zwyczajnie zabrakło dla mnie miejsca.

Znalazłam koc i opatuliłam się nim, całkowicie pograżając się w jego miękkości. Stanowił on jedyny dowód na to, że mój ojciec chrzestny naprawdę istniał i że kiedyś po mnie przyszedł i być może pewnego dnia wróci.

Ponadto stał się przyczyną ogromnego sporu między tatą a mamą.

Mama chciała go przehandlować na targu, twierdząc, że sam zysk ze sprzedaży tego aksamitnego materiału wystarczyłby im na co najmniej trzy lata. Tata uznał natomiast, że spieniężenie prezentu od Ponurego Końca sprowadziłoby na naszą rodzinę niechybną zgubę, i zabronił go jej dotykać.

„Przyglądałem się tym niciom i to naprawdę szczere złoto”, szeptał często z podziwem Bertie.

Układały się one w moje imię.

HAZEL.

Ten koc zdecydowanie nie powinien leżeć w stodole, na posłaniu ze słomy. Nie został przeznaczony dla rodziny z gromadką dzieci – biednej, niemającej zbyt wiele jedzenia, głośniejszej i co najgorsze, niedającej swoim pociechom tyle miłości, na ile zasługiwały.

Nie pasował on również skromnej dziewczynie, której ramiona teraz otulał.

– Och, ojcie chrzestny – wyszeptałam, kierując prośbę w mroczną noc. – Czy to właśnie ten rok? Czy jutro nadejdzie ten dzień?

Nasłuchiwałam odgłosów, czekając i licząc, że mi odpowie – tak jak co roku, w noc przed moimi urodzinami.

Wciąż czekałam.

Zapadałam w sen i wybudzałam się z niego raz za razem, nawiedzana niespokojnymi snami.

W pewnej dolinie, w Rouxbouillet, małej wiosce położonej przy naszym lesie, rozbrzmiały dzwony świątyni Pierwszej Świętej.

Najpierw raz, potem drugi... siedem razy, a następnie osiem i tak dalej... aż w końcu rozbrzmiał dwunasty gong.

Dwanaście...

Liczba odpowiadająca godzinom światła słonecznego w ciągu dnia, miesiącom w roku, a także doskonałemu tuzinowi.

Idealny porządek i perfekcyjna liczba.

A później pojawiłam się ja... mała, ciemnowłosa, piegowata, zupełnie niepasująca do tego wszystkiego.

Gdy ostatni z dwunastu dzwonów ucichł wraz z nadejściem rzeźkiego powietrza z północy, po raz pierwszy wzięłam głęboki wdech, by uczcić swój ósmy rok na tej ziemi. Czekałam, aż poczuje się jakoś inaczej, ale nic się nie zmieniło. Uniosłam ręce, rozkładając palce tak szeroko, jak się tylko dało, i sprawdzając, czy wyglądają na bardziej pomarszczone. Wpatrywałam się

również w czubek nosa, licząc, że jakimś cudem piegi zniknąły z moich zaokrąglonych policzków.

Nie stałam się jednak doroślejsza.

Czy Ponury Koniec się tym przejął?

– Kolejny rok, kolejny rok, nadszedł kolejny rok – nuciłam pod nosem, wtulona w słomę i aksamitny materiał. Mój głos brzmiał niezwykle cicho w przestronnej stodole. – Jesteś teraz o rok starsza, więc krzyknij: Hurra! I już po sprawie!

Zamilkłam ponownie, wytężając słuch w nadziei, że usłyszę jakiegokolwiek dźwięki, wskazujące na obecność mojego ojca chrzestnego. Wciąż nic.

– Hurra – mruknęłam cicho, po czym przewróciłam się na drugi bok, próbując zasnąć.